

Marian Cieślak

O odpowiedzialności adwokatów za fakty łamania praworządności - i ich naprawienie

Palestra 42/1-2(481-482), 105-110

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



POLEMIKA

Marian Cieślak
adwokat

**O odpowiedzialności adwokatów
za fakty łamania praworządności – i ich naprawienie**

I.

W wypowiedzi adw. Tadeusza Wonera zamieszczonej w numerze 11–12/56 „Nowego Prawa” postawiono bardzo śmiałą tezę, że „zarzuty niepraworządnego postępowania kierowane pod adresem prokuratury, sądu i organów administracyjnych godzą także w zdecydowaną większość adwokatury (str. 109), gdyż „wykonując swoje obowiązki zawodowe adwokaci nie prowadzili żadnej walki o praworządność” (str. 108). Zdaniem autora, adwokaci jako obrońcy w sprawach osób obecnie rehabilitowanych nie mieli odwagi walczyć o praworządność i w przemówieniach swoich ograniczali się tylko do „potępienia przestępstwa” i „błagalnej prośby o łagodną karę”.

Zagadnienie jest, moim zdaniem, niezwykle ciekawe i godne dyskusji. Szkoda tylko, że potraktowane zostało w sposób nieco powierzchowny, ogólnikowy i zbyt jednostronny, a cała wypowiedź – przez wskazanie na określony teren i inne aluzje o charakterze mniej więcej osobistym – może robić wrażenie próby sprowadzenia całego problemu na niewłaściwą płaszczyznę sporu zaściankowego. Nic też dziwnego, że w tym samym numerze „Nowego Prawa” pojawił się głos polemiczny adw. N. Ceranki. Tę ostatnią wypowiedź uważam w zasadzie za słuszną i dlatego właśnie chciałbym odrzucić te jej argumenty, które wydają mi się wątpliwe.

Nie mógłbym się zatem zgodzić ze zdaniem adw. Ceranki, że nie można mówić o odpowiedzialności adwokatów za fakty łamania praworządności z tej tylko racji, iż adwokatura nie sprawuje wymiaru sprawiedliwości, podobnie jak dezercja żołnierza nie może stanowić podstawy zarzutu co do jego współudziału w agresji.

Analogia nie wydaje się trafna. Musimy przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, czy adwokat jest tzw. „współczynnikiem wymiaru sprawiedliwości”, czy nie. Jeśli nim jest (a to – jak mi się wydaje – *communis opinio* adwokatów uznaje za fakt niewątpliwy), to musimy uznać jego udział nie tylko w zakresie „aktywów” tego wymiaru sprawiedliwości, lecz również

w zakresie błędów i wypaczeń. Jeśli współczynnik w dobrym, to chyba i w złym. Oczywiście chodzić tu będzie w zasadzie nie o odpowiedzialność za łamanie praworządności w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale o odpowiedzialność za „współuczestnictwo” w procesie łamania praworządności, a – jak wiadomo – między tymi dwiema kategoriami zachodzi tylko różnica ilościowa, która zresztą doprowadziła w prawie karnym do zasadniczego zrównania wszystkich „form udziału w przestępstwie”.

Nie przekonywa mnie również argument, że stawianie adwokatom zarzutu nieprzeciwstawiania się łamaniu praworządności jest niesłuszne, gdyż zarzut ten można byłoby postawić również Sejmowi, prasie, literatom itp. Przede wszystkim istnienie dalszych współwinnych, a więc fakt, że za czyn naganny odpowiada jeszcze ktoś inny, w żadnej mierze nie może usprawiedliwiać winowajcy. A poza tym jest pewna różnica między odpowiedzialnością literatów i prasy za nieprzeciwstawianie się łamaniu praworządności a odpowiedzialnością adwokatów w tym zakresie. Choćby ta, że tamci nie są uczestnikami procesu i nie mają pretensji do miana tzw. „współczynników”.

Nie wynika stąd, że bronię stanowiska adw. Wонера. Przeciwnie, uważam je za błędne i krzywdzące naszą adwokatwę, choć znowu daleki jestem od twierdzenia, że wszyscy bez wyjątku adwokaci to kryształowi i nieustraszeni bojownicy o sprawiedliwość i praworządność. Oczywiście nie mam możliwości sprawdzenia przesłanek faktycznych, na których opiera swój osąd adw. Woner; nie mogę sprawdzić, czy rzeczywiście wszyscy adwokaci w procesach osób niesłusznie skazanych ograniczali się do błagania o łagodną karę. Nie widzę zresztą potrzeby: zasada ciężaru dowodowego obowiązująca w procesie karnym odnosi się w swej istotnej treści do wszelkich twierdzeń, a zwłaszcza do tych, które zawierają w sobie jakiś zarzut. Każdy zatem, kto występuje z mniej lub bardziej określonym zarzutem, jest obowiązany uzasadnić go, a zwłaszcza podać fakty na jego poparcie. Zresztą kwestię, jak naprawdę było z obronami w sprawach osób obecnie rehabilitowanych, pozostawiam uczestnikom tych procesów.

II.

Chciałbym natomiast zająć się innym, o wiele ciekawszym aspektem poruszanego zagadnienia, aspektem, który zasadniczo uszedł uwagi obu dyskutantów, chociaż z punktu widzenia praktyki adwokackiej przedstawia on znaczenie zasadnicze.

Weźmy bowiem przykład najjaskrawszy. Załóżmy, że sprawa jest dla obrońcy całkowicie jasna: dowody winy są spreparowane, oskarżony skłoniony torturami lub szantażem (np. obietnicą darowania mu życia) „przyznaje się” do winy i opisuje dokładnie, w jaki sposób popełnił zarzucany mu

czyn. obrońca ma do wyboru dwie drogi: albo krzyczeć głośno, „protestuje”, zarzucać fałsz dowodów winy, choćby nie mógł fałszu tego wykazać i żądać uniewinnienia oskarżonego wbrew przyznaniu i wbrew wnioskowi samego oskarżonego, albo też, utrzymując się w ramach oczywistej dla niego zbrodniczej fikcji, dążyć do najłagodniejszego wymiaru kary.

Sprawa byłaby całkowicie jasna, gdyby chodziło tylko o interes adwokata. obrońca, który by wybrał drugą alternatywę tylko z obawy o sankcje dyscyplinarne, utratę swego zawodu, lub nawet utratę wolności, postąpiłby nagannie, w sposób niegodny nie tylko adwokata, ale wprost człowieka. Nieco gorzej byłoby natomiast, gdyby adwokatowi groziła utrata życia (np. gdyby ujawnienie niewinności oskarżonego przez obrońcę połączone było w danych warunkach z ewentualnością jego „zlikwidowania”). Mielibyśmy wtedy do czynienia z typowym stanem wyższej konieczności. Ale to chyba ewentualność, która w stosunku do obrońców nie wchodziła w grę, a ogólnie biorąc opinia, że „spośród różnych współczynników wymiaru sprawiedliwości adwokat był najmniej narażony na przykrości”, jest, jak sądzę, w zasadzie słuszna – już choćby z racji braku bezpośredniego „służbowego” podporządkowania adwokata odpowiedniej władzy.

Ale przecież w podanym wyżej wypadku wchodziło w grę coś więcej – interes samego klienta. A w sprawach, o których mowa, chodziło zresztą zwykle nie o byle co, chodziło wręcz o głowę. I tu pojawiał się jeden z najistotniejszych problemów praktyki adwokackiej: problem taktyki obrończej. Jak postąpić, aby oskarżonemu ocalić życie? Stosunkowo łatwo jest o prostolinijność postępowania, a nawet o bohaterstwo tam, gdzie chodzi wyłącznie o własną skórę. Nieco bardziej komplikuje się sprawa wtedy, gdy wchodzi w grę odpowiedzialność za cudzy los.

Ten problem pojawia się zresztą nie tylko w takich wyjątkowych sytuacjach, o których mowa wyżej. Staje on przed każdym uczciwym i współczującym adwokatem (a współczucie z klientem, wczucie się w jego położenie uważam za istotną przesłankę humanistycznej postawy adwokata) niemal na każdym kroku w codziennej jego pracy. Każdy z adwokatów przyzna mi chyba, jak dużo poświęca na codzień dla dobra klienta ze swych ambicji, przyzwyczajień, a nawet mniej ważnych przekonań i zasad swego postępowania. Ileż to razy adwokat musi się hamować, byleby nie narazić się sędziemu, który przecież jest tylko człowiekiem, a nad adwokatem ma tę przewagę, że decyduje o losie jego klienta.

Chętnie usłyszę na ten temat zdanie adwokatów bardziej doświadczonych ode mnie. A ze swej szczupłej praktyki podam tylko – gwoli ilustracji – taki skromny przykład.

W pierwszych miesiącach mojej praktyki adwokackiej czekałem na sali rozpraw w sądzie powiatowym na sprawę, w której występowałem jako obrońca. W sprawie poprzedzającej moją sprawę okazało się, że jeden ze współoskarżonych nie ukończył lat siedemnastu. Sędzia oświadczył mi, że

ustanawia mnie obrońcą z urzędu, zarządzając jednocześnie dziesięcominutową przerwę dla umożliwienia mi zapoznania się z aktami. Po pobieżnym przejrzeniu akt zaproponowałem przerwę rozprawy na kilka dni w celu umożliwienia mi obrony, przedyskutowania sprawy z oskarżonym i złożenia ewentualnych wniosków. Na argument, że „sprawa jest przecież tak jasna i prosta”, oświadczyłem stanowczo, że nie mogę podjąć się natychmiastowej obrony. Znalaziono na korytarzu adwokata, który podjął się obrony natychmiast i sprawę zakończono za pół godziny. A potem przyszła moja sprawa. Zgodnie z przewidywaniem zapadł wyrok skazujący, lecz orzeczona kara przekroczyła moje oczekiwania o ładnych kilka miesięcy aresztu. I do dziś trapi mnie pytanie, czy te kilka miesięcy „nadwyżki” nie oberwał mój klient za krnąbrność swojego obrońcy. I wiem, że na to pytanie nie znajdę nigdy odpowiedzi; wątpię też, czy potrafiłby na nie odpowiedzieć sam sędzia.

Dla każdego jest oczywiste, że podany wyżej przykład sytuacji przymusowej adwokata – to naprawdę drobnostka w porównaniu z wypadkami, gdy chodziło o życie ludzi niewinnych, których oskarżano o najcięższe zbrodnie i którzy do tych zbrodni się przyznawali. Przecież nawet w tych wypadkach, w których niewinność oskarżonych nie była tajemnicą dla obrońcy, chodziło nie o problem „czy bronić”, ale o problem „jak bronić”, aby uzyskać to, co – być może – leży w możliwościach obrońcy, tj. uratowanie życia człowiekowi niewinnemu. Żądanie, aby adwokat we wszystkich tych wypadkach był bezkompromisowym heroldem prawdy – wbrew trzeźwo ocenionemu interesowi swojego klienta, a nawet, być może, wbrew jego woli – aby krzyczał wszem i wobec: „zbrodnia, protestuję” bez względu na skutki, jakie może pociągnąć jego zachowanie, byłoby żądaniem jawnie demagogicznym. I jeżeli ktoś twierdzi, że adwokatów, którzy by tak postępowali, na ogół nie mieliśmy w okresie stalinizmu, to jest to niewątpliwie prawda. Nie sądzę jednak, aby fakt ten stanowił dostateczną podstawę do rozkładania odpowiedzialności za łamanie praworządności również na adwokatów. Nie tylko dlatego, że takie szukanie współwinnych nie ma żadnego oparcia w rzeczywistości, lecz również dlatego, że zbyt łatwo pomaga rozgrzeszyć się rzeczywistym winowajcom.

III.

Czy z tego wynika, że sam problem odpowiedzialności adwokatów za to, co było, jest zupełnie nieaktualny? Bynajmniej. Wystąpienie adw. Wонера jest odkrywcze o tyle, że wskazuje istotny problem, którego przedyskutowanie i wyjaśnienie może mieć pewne znaczenie dla należytego uświadomienia sobie roli adwokatury w wymiarze sprawiedliwości, zrozumienia niektórych zasad adwokackiej etyki, a nawet – być może – dla naprawy stosunków w adwokataturze. Osobiście nasuwają mi się następujące zagadnienia, do

których sprecyzowania chciałbym się ograniczyć, gdyż nie mam dostatecznych przesłanek dla propozycji ich rozwiązania.

Pierwsze pytanie, które chciałbym postawić, dotyczy dyskutowanej obecnie sprawy tzw. „sekcji tajnej” w Wydziale karnym Sądu Wojewódzkiego dla m. Warszawy i odpowiadającej jej instytucji w Sądzie Najwyższym. Czy prawdą jest to, co głosi plotka, że tylko niektórzy adwokaci mieli prawo występować na rozprawach prowadzonych przez te tajne komplety? Jeśli tak, to nasuwałaby się potrzeba zbadania podstaw tych szczególnych „uprawnień” i tego szczególnego „zaufania” oraz potrzeba zbadania, jak ci obrońcy spełniali swoje obowiązki. Niechże więc komisja powołana do zbadania sprawy tzw. „sekcji tajnej” wyświetli również rolę tej grupy adwokatów, którzy uznani zostali za godnych do występowania przed tą instytucją.

Sprawdzenia wymagałaby również inna sprawa. Gdyby istniały jakiegokolwiek podejrzenia co do roli niektórych adwokatów w tzw. procesach politycznych w minionym okresie, to i te wypadki powinny być zbadane. Nie gwoli „wykańczania” ludzi – choćby nawet w pewnym stopniu winnych – lecz gwoli wykrycia całej prawdy. Bo tylko w ten sposób rozproszymy pozostałości podejrzeń i nieufności, które na pewno nie przysparzają naszemu wymiarowi sprawiedliwości autorytetu tak bardzo potrzebnego w chwili obecnej, a niejednokrotnie poważnie krzywdzą ludzi.

Wreszcie ostatnia sprawa – to kwestia stosunku władz adwokatury do faktów łamania praworządności. Należy zbadać, czy istotnie były wypadki, o których pisze adw. Woner, że „gdy odważniejszy adwokat wytykał prokuraturze czy sądowi pogwałcenie przepisu prawa i nazywał to słusznie naruszeniem praworządności, to narażał się na dochodzenie dyscyplinarne z powodu nadużycia wolności prawa” i że „dopiero orzecznictwo Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przygasiło tę za daleko posuniętą wrażliwość na usłużność w stosunku do sądu czy prokuratury”. Myślę, że jest to sprawa zbyt poważna, aby można było pisać o niej bez podania konkretnych faktów. Jeśli wypadki takie były, należy wyciągnąć je na światło dzienne, należy mówić o nich publicznie i napiętnować winnych – choćby na łamach „Palestry”.

Formułowanie natomiast tak poważnych zarzutów w sposób głoślowy i ogólnikowy, bez poparcia tych zarzutów jakimkolwiek materiałem faktycznym (nb. z powołaniem się na teren izby krakowskiej), może wywołać wrażenie insynuacji osobistej. Tego rodzaju głoślowne ataki na działalność dyscyplinarną organów adwokatury spełniają nadto tę ujemną rolę, że schlebiają – być może wbrew intencjom ich autorów – tej najgorszej kategorii adwokatów, których codzienna praktyka jest nieustannym urąganiem wszelkim zasadom etyki zawodowej, a nawet ludzkiej i którzy pozostają bezkarni właśnie z powodu całkowitej indolencji aparatu dyscyplinarnego adwokatury.

IV.

Wyjaśnienie tego, co stało się w przeszłości i ustalenie stopnia odpowiedzialności poszczególnych osób za to, co się stało, jest rzeczą ważną, i dyskusja na ten temat jest celowa i pożyteczna. Choćby dlatego, żeby nie dopuścić do powtórzenia się tych faktów w przyszłości. Ale dużo ważniejsza jest, moim zdaniem, kwestia odpowiedzialności za to, co dzieje się aktualnie. I dyskusja na ten temat jest o wiele bardziej celowa i konieczna.

Jeśli stawiamy problem odpowiedzialności adwokatów za przyczynianie się do łamania praworządności w przeszłości, to ja pozwalam sobie – gwoli zapoczątkowania dyskusji – postawić jakże żywy i aktualny problem odpowiedzialności adwokatów za to, żeby zostały usunięte skutki łamania praworządności, odpowiedzialności za to, żeby wszyscy skrzywdzeni zostali w granicach istniejących możliwości faktycznych i prawnych zrehabilitowani i za krzywdy swoje uzyskali należną im rekompensatę. Należy bowiem obawiać się, że wiele osób skrzywdzonych nie zgłosi się do swoich byłych obrońców. Jedni dlatego po prostu, że nie ma ich już wśród żywych, a rodzina bądź nie istnieje, bądź nie widzi żadnego interesu w rehabilitacji pośmiertnej. Inni dlatego, że wręcz nie mają dość sił, aby zabliznione już tragedie rozgrzebywać na nowo. Inni znowu dlatego, że nie mają pieniędzy na kosztowny w ich mniemaniu proces. Inni wreszcie dlatego, że po prostu nie wiedzą, iż mogą dochodzić swojej rehabilitacji.

Nikt inny nie orientuje się tak dobrze w możliwościach krzywd i niesprawiedliwości jak obrońcy, którzy występowali w odpowiednich sprawach. A poza tym, powiedzmy szczerze: wielu z tych, którzy oskarżali lub wyrokowali w tamtych procesach, jest obecnie w gronie adwokatów. Bo nie każdy, kto dostał kopniaka w okresie stalinizmu, jest ofiarą stalinizmu. Czasem przygoda ta zdarzała się właśnie tym najgorliwszym i najbardziej „czujnym”.

Niechże więc ci, którzy tak chętnie deklamują o obronie praw człowieka, zadadzą sobie spory trud, choćby nikt na razie nie wpłacił zaliczki na honorarium. Niech zbadają dokładnie swoje archiwa, niech pamięcią przebiegną akta i procesy, niech poszukają zaschniętych ran i zapomnianych krzywd. I niechaj we wszystkich wypadkach, w których sumienie im nakaże, podejmą potrzebną inicjatywę nie czekając na zgłoszenie się osób bezpośrednio zainteresowanych. I niechaj o znanych im faktach krzywd i zbrodni mówią przy każdej okazji, publicznie i prywatnie, byle z dobrą wolą i w sposób konkretny i udokumentowany. Niech uczynią wszystko dla prawdy i sprawiedliwości.

Jeśli tego obowiązku adwokatura nie spełni, spadnie na nią ciężka odpowiedzialność. Odpowiedzialność, której nie zmniejszy fakt, że chodziło „tylko” o zaniechanie.